

Stopikowska, Małgorzata

List do redakcji "Dziejów Najnowszych"

Dzieje Najnowsze 36/2, 303-306

2004

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

List do redakcji „Dziejów Najnowszych”

Złe jest dopiero wtedy, gdy za pisanie recenzji biorą się ludzie, którzy nie starają się zrozumieć, co czytają, nie wiedzą, jaką aktualnie czytają książkę, lub co gorsza, w ogóle jej nie przeczytali i poprzestali na przereczeniu — niezbyt chyba uważnym — kilku kartek. Taka nasuwa się konkluzja po przeczytaniu recenzji Daniela Boćkowskiego, zamieszczonej w „Dziejach Najnowszych” (2003, nr 1, s. 200-206). Już pierwsze zdanie jego tekstu zawiera mnóstwo nieuprawnionych i zupełnie dziwacznych tez.

Otóż, według Autora recenzji, „złe jest, kiedy za pisanie historii biorą się młodzi pracownicy Wydziału Teologii KUL (...)”. Samo określenie „pisanie historii” nasuwa poważne zastrzeżenia, bo czyż zadaniem naukowca jest „pisać historię” (tworzyć *ex nihilo*)? Czy tak Autor postrzega swoje zadanie jako historyka? Tutaj analogie do minionego okresu, kiedy „pisano historię” w zależności od aktualnych potrzeb, są aż nazbyt czytelne.

Idąc dalej tokiem rozumowania Boćkowskiego, można wnioskować, iż dobrze będzie dopiero wtedy, gdy historią zajmą się ludzie starzy i — co zrozumiałe — nie związani z katolickim środowiskiem akademickim. Tutaj jednym pociągnięciem pióra Autor spisał na straty nie tylko wszystkich młodych, ale ogół pracowników Wydziału Teologii KUL. Wydaje się jednak, że dla poparcia tak radykalnej tezy należałoby sięgnąć po jakiegokolwiek argumenty.

Być może ekstremizm takiego stanowiska bezdyskusyjnie uzasadnia niepodważalny autoritet własny Recenzenta — wprawdzie historyka, ale młodego. Pojawia się jednak drobne, ale nie do uniknięcia pytanie. Jak mianowicie potraktować całość tekstu Boćkowskiego w kontekście jego własnych uwag wstępnych? Skoro sam Autor nie należy do starszego grona historyków, jaką zatem wartość mogą mieć jego wynurzenia?

Przy tym trudno oprzeć się wrażeniu, iż Boćkowski przy okazji czytania jednej książki zrecenzował inną. Jak bowiem można wytłumaczyć takie szkolne błędy, jak: przekręcanie nazwiska autorki, błędne podanie nazwy wydawnictwa, liczby stron oraz wytykanie mi całego szeregu rzekomych braków — tj. nieuwzględnienia przeze mnie treści, które przecież w książce mocno zaakcentowałam. Czyżby Boćkowski „nie dostrzegł” ich w ferworze czytania mojego (albo innego) tekstu? Takie „wpadki” w poważny sposób podają w wątpliwość merytoryczną wartość jego recenzji.

Podobnie czemu ma służyć określenie mnie pracownikiem Wydziału Teologii KUL w sytuacji, gdy nie byłam ani nie jestem pracownikiem WT tej uczelni — tak zasłużonej dla nauki polskiej światowej, ale Instytutu Pedagogiki Uniwersytetu Gdańskiego — środowiska naukowego wprawdzie młodego, ale otwartego na różnorodność nurtów myślowych i koncepcji? Czyżby ta konfabulacja Recenzenta miała służyć dyskredytacji mojego tekstu, a przy tym dorobku naukowego WT KUL, w myśl uprzedzeń Recenzenta — jeśli coś jest katolickie, to tym samym zdyskwalifikowane?

Typowym przykładem niedoczytania przez Recenzenta mojej książki są podnoszone przez niego kwestie niejasności terminologicznych związanych z pojęciami „Kresy” (s. 203) czy „deportacja” (s. 204), które szczegółowo zostały wyjaśnione przeze mnie we wstępie. Podobnie bezzasadne są jego uwagi dotyczące braku kluczowych dla pracy pytań badawczych — zostały one również zamieszczone we wstępie¹. Bezpodstawne są również zarzuty o niedostrzeganiu przeze mnie powstałych w okresie PRL opracowań nt. zesłańców. Wszakże wykaz owych cennych pozycji przytoczony przez Boćkowskiego ściągnięty jest niemal „żywcem” z bibliografii zawartej w mojej książce.

Tak samo niesłuszne są oskarżenia o nieuwzględnienie przez mnie faktu różnorodności wykształcenia i struktury zesłanych rodzin wraz ze zróżnicowaniem jakości i intensywności ich oddziaływań wychowawczych (s. 201). Tej problematyce poświęcony został rozdział II mojej rozprawy pt. *Rodzina podstawowym środowiskiem wychowania*, gdzie dokonuję analizy środowiska rodzinnego pod kątem właśnie struktury rodziny, kondycji psychicznej oraz atmosfery wychowawczej, a także rozpatruję oddziaływania wychowawcze na płaszczyźnie opiekuńczej, społecznej religijno-patriotycznej (s. 137-207). Podobnie fałszywe są pomówienia Boćkowskiego, jakoby nic nie wiedział o wielonarodowości zesłańców, współpracy pomiędzy ludnością zesłańczą a rdzenną czy współdziałaniem przedstawicieli różnych konfesji w wychowaniu religijnym dzieci (s. 201). Czyżby Recenzent nie przeczytał rozdziału zatytułowanego *Pozarodzinne środowiska wychowawcze* (s. 209-278), gdzie w kolejnych paragrafach dokładnie omawiam m.in. te zagadnienia?

Podobnie niezrozumiały (i niezasłużony) jest ponawiany przez Autora recenzji zarzut opierania się przeze mnie na „jednostkowych relacjach” (s. 201) czy „kilku relacjach” (s. 201), skoro dalejsam on przyznaje — również dwukrotnie — że „liczba wykorzystanych w pracy pamiętników, wspomnień i relacji jest doprawdy imponująca” (s. 205) lub że na źródła składa się „naprawdę obszerna literatura pamiętnikarska i wspomnieniowa” (s. 202)? Dziwi także fakt, iż tak obficie zgromadzona przeze mnie literatura (czyli niemal 200 pozycji, nie licząc zbioru wspomnień, głównie anonimowych²) jest dla D. Boćkowskiego na tyle niegodna zaufania, że przeciwstawia jej posiadane przez siebie inne wspomnienia (s. 201, 202, 205). Dlaczego zatem jego przekazy mają być bardziej obiektywne niż wszystkie inne? Czyżby Boćkowski wyznawał zasadę „moje lepsze: lepsze, bo moje”?

Warto też poinformować Szanownego Historyka, że poza historią istnieją także inne nauki, które kierują się własnym celem i aspektem dociekań, używają swoistych metod i koncentrują się na charakterystycznym dla siebie przedmiocie. Przy tym trzeba wyjaśnić, iż nie każda książka zawierająca w tytule przykładowo słowo „pisklęta” musi spełniać wymagania badań z zakresu ornitologii. Niestety, Recenzent wykazał się nieświadomością (ignorancją?) w tym względzie i stąd pewnie wynikło nieporozumienie, które zaowocowało w jego tekście „litanią” moich rzekomych błędów i skandalicznych — Jego zdaniem — defektów.

Moja rozprawa powstała jako praca na pograniczu teologii i pedagogiki, natomiast zagadnienia historyczne stanowią jedynie tło dla rozważań teologicznych i pedagogicznych. Nie uważałam zatem za potrzebne dogłębnie opisywać wszystkie zawilości i kontrowersje historyczne. Ustalenie tych zagadnień zostawiam historykom, skupiając się na interesującej mnie problematyce wychowawczej, aksjologicznej i etyczno-moralnej.

¹ Sądę też, że kwestie dotyczące postawienia pytań badawczych powinniśmy pozostawić tym, którzy rozumieją specyfikę poruszanych przez siebie zagadnień.

² „W czterdziestym nas Matko na Sybir zesłali”. *Polska a Rosja 1939-42*, wybór i oprac. J. Gross, I. Gross-Grudzińska, wstęp J. Gross, Warszawa 1990.

LISTY DO REDAKCJI

Stąd kompletnym nieporozumieniem jest zaciekle kontestowanie przez Boćkowskiego (s. 204-205) jednego ze wstępnych paragrafów mojej książki (s. 74-96 — to raptem tylko 22 strony na ponad 230 stronich samego tekstu!)³. W istocie rzeczy ubolewa on nad stanem polskiej historiografii poświęconej badaniom wschodnim. Nie trzeba być historykiem, aby dostrzec, że Autor recenzji polemizuje nie tyle z moimi twierdzeniami, co raczej z wykorzystanymi przeze mnie opracowaniami! Można się więc zapytać, gdzie podziewała się czujność Boćkowskiego, gdy publikowano te pozycje? Czy nie należało wtedy protestować? Może, co gorsza, o ich istnieniu Recenzent dowiedział się dopiero z mojej teologiczno-pedagogicznej dysertacji?

Kolejna gafa popełniona przez Recenzenta to jego krytyka dobranej przez mnie literatury (s. 202-203). Szkoda, a przy tym i niezręcznie jest tłumaczyć Boćkowskiemu na łamach poważnego pisma naukowego, że poza historią istnieje również kilka innych, posługujących się właściwymi sobie źródłami i metodami, dyscyplin naukowych. Skorzystanie z dorobku nauki, z zakresu której pisana jest rozprawa, nie stanowi zatem — jak autorytatywnie stwierdza Recenzent — „dużych braków warsztatowych” (s. 203) czy „błędu metodologicznego i merytorycznego” (s. 202), lecz jest prostą konsekwencją wyboru płaszczyzny badawczej.

Dla teologa źródłem niezbędnym dla formułowania ocen moralnych będą dokumenty Naczyielskiego Urzędu Kościoła (bo w jaki sposób dowiedzieć się, jakie wymagania moralne stawia on swoim wyznawcom). Podobnie literatura memuarystyczna może być źródłem zarówno dla teologa, jak i pedagoga (bo na jakiej innej podstawie zbadać subiektywny świat przeżyć, refleksji i przekonań). Po co więc Autor recenzji trzyma się tak kurczowo schematu kwalifikowania i podziału literatury poprawnego w pracach historyków, ale zupełnie nieadekwatnego dla innych nauk? Bałwochwalcze pochwały pod adresem archiwaliów (s. 202-203) — niezbędnych w pracy historyka — mogą okazać się zupełnie nie na miejscu w pracy teologa czy pedagoga.

Następny kuriozalny przykład braku rozumienia czytanych przez siebie fragmentów Boćkowski zaprezentował na s. 201 swojej recenzji, gdzie zarzuca mi skrajne ukazanie i ocenę erotyki wśród dorosłych zesłańców. Na poparcie swojej tezy przytoczył fragment mojej książki: „obyczajem nie do zaakceptowania przez katolików była rozwiązłość seksualna, powszechnie akceptowana w społecznościach sowieckich (...)”. Oburzenie Autora recenzji mogłoby być słuszne, gdyby zabrakło tu słowa „katolików”. Jednak tu, jak i w wielu innych fragmentach Jego recenzji zabrakło albo obiektywizmu — co byłoby najłżejszym zarzutem — albo elementarnego zrozumienia czytanego tekstu. Nic mi nie wiadomo, aby katolika przestało kiedykolwiek obowiązywać szóste przykazanie.

Idąc dalej: Boćkowski nie daje za wygraną i znów krytykuje moje wartościowanie postaw, tym razem wśród młodzieży. „Dlaczego — stawia pytanie — młodzież polska nie miała prawa korzystać z uroków życia: proszę podać jakikolwiek dowód na to, że jestem w błędzie” (s. 201). Nie rozwijając szerzej myśli, dodam, że Autor recenzji myli dwa odrębne porządki: praktykę życiową i ocenę moralną. Czym innym jest postępowanie człowieka, wynikające z jego wyborów, a czym innym ocena moralna tegoż postępowania. Widać więc, iż Boćkowskiemu nie udało się przebrnąć przez tekst i utknął gdzieś na mieliźnie, nie mogąc sobie poradzić z tak podstawowym i prostym rozróżnieniem.

³ Zresztą skupienie się w recenzji książki na jednym (sic!), i to na dodatek tylko pomocniczym, paragrafie jest po prostu błędne. Czegóż z takiej recenzji może dowiedzieć się Czytelnik? A gdzie pozostałe ponad 200 stron książki (nie licząc bibliografii)?

Z godnym podziwu uporem Boćkowski udziela mi także „cennych” rad w kwestiach ujmowania i oceniania wielu innych zagadnień pedagogicznych, a zwłaszcza moralnych. Jak się więc stało, że tych rzekomych braków nie dostrzegły naukowe środowiska etyków, a w odkrywczy sposób obwieścił je dopiero historyk Daniel Boćkowski? Ironizowanie z zamieszczonych w pracy ocen zagadnień moralnych—zwłaszcza gdy się ich zupełnie nie rozumie (s. 202)— kolejny już raz wystawia Recenzentowi niezbyt pochlebne świadectwo. Zostawmy więc oceny tych zagadnień etykom i moralistom, gdyż, jak zauważył pewien myśliciel, „wtedy będzie źle, gdy wszyscy zaczną się zajmować wszystkim”.

Wyrażane przez Boćkowskiego tu i ówdzie zdziwienie (s. 201,202,203) czy wprost negacja założeń całej mojej pracy (s. 203) jest po prostu konsekwencją niezrozumienia odrębności metodologicznej prac teologicznych i pedagogicznych. Można się tylko zapytać, jakie ma on do tego prawo, skoro wykazuje się tak elementarnymi brakami, choćby w zakresie wiedzy katechizmowej? Podobnie odsłania swoją niewiedzę na płaszczyźnie pedagogiczno-psychologicznej, gdy próbuje polemizować z autentycznością przeżyć pamiętnikarzy (s. 204-205).

Sądzę, iż oczywiście jest, ale chyba nie dla Boćkowskiego, że czym innym jest ustalenie faktów przez historyka, a czym innym — ocena dokonywanych czynów ludzkich na płaszczyźnie moralnej i wychowawczej. Ktoś, kto nie dostrzega tak podstawowych różnic, nie powinien czytać, a już na pewno recenzować prac teologicznych i pedagogicznych. Nie wątpię, iż ocenianie z historycznego punktu widzenia rozważań teologiczno-moralnych następcza historykowi wiele trudności i strapienia, nie wiem tylko, czemu mogłoby ono służyć? A przy tym na pewno nie jest to ani merytoryczne, ani metodologicznie poprawne. Po co więc marnować czas i papier?

Małgorzata Stopikowska
Gdańsk